

Śpiewające nieme kino

PREMIERA | Brawurowy „Czarodziejski flet” jest spektaklem, w którym można fruwać z pijanymi słoniami.

JACEK MARCZYŃSKI

Dostojne wnętrza Opery Narodowej zmieniło charakter. Gdy jaskrawo-czerwona kurtyna rozsunie się, widz nie zobaczy dekoracji tylko biały ekran. Cofamy się do początków ery kina, gdy ta nowa – a zdaniem wielu tandetna – rozrywka starała się dowartościować w eleganckich kinoteatrach.

A może dziś dokonuje się proces odwrotny? Może to elitarna opera próbuje kusić widza tanim dowcipem z komedii filmowej? Jeśli tak, zamiar się udał. Ta inscenizacja „Czarodziejskiego fletu” Mozarta powstała cztery lata temu w berlińskiej Komische Oper i stała się europejską sensacją. Zawędrowała do paru innych teatrów, teraz prawa do stałej eksploatacji kupiła Opera Narodowa.

Reżyser Barrie Kosky – Australijczyk od lat pracujący w Niemczech – i zespół „1927” wymyślili rzecz niezwykłą. Połączyli filmową animację z przedstawieniem. Bywały takie próby w kinie, gdy postaci z kreskówek stawały się partnerami aktorów („Kto wrobił królika Rogera”), animacja wzbogacała też „Tryumf pana Kleksa”, ale do opery nie śmiała wkroczyć.

Efekty okazały się zdumiewające. W tym „Czarodziejskim flecie” Królowa Nocy stała się gigantycznym pajakiem. Pamina z Papagenem odbywają szaleńczą pogoń po dachach domów, trzej chłopcy podróżują w balonie wielkiej ćmy, zły Monostatos o wyglądzie Nosferatu prowadzi na



♦ Iwona Sobotka – mozartowska Pamina w stylizacji na gwiazdę kina niemego Louise Brooks

smyczy stado wilków. A Papageno upiwszy się różowym koktajlem unosi się w górę w towarzystwie różowych słoni.

Co najważniejsze – wykonawcy w ogóle nie ruszają się z miejsca, ukazują się tylko na specjalnych platformach w różnych fragmentach białego ekranu. Resztę załatwiają rysunkowe animacje, feeria barw, pomysłów, postaci, motywów i wzorów, techniczna precyzja. Do spektaklu wykonano ponad 900 rysunków.

Śpiewacy ożywiają natomiast bohaterów Mozarta przesadną gestykulacją i mimiką twarzy. Tak grało się w filmach bez dźwięku i w tej konwencji utrzymane jest

przedstawienie. Książę Tamino to elegancki amant w stylu Rudolfa Valentino, Pamina nosi fryzurę na pazia wylansowaną przez słynną gwiazdę Louise Brooks, Papageno to operowe wcielenia Bustera Keatona w identycznym jak on kapeluszu. A zamiast śpiewanych dialogów mamy napisy na ekranie. Po prostu nieme kino, choć śpiewane.

Tak oto „Czarodziejski flet” stał się ludyczną rozrywką. Od ponad 200 lat różni reżyserzy próbują zgłębić sens ukryty w tym skomplikowanym znaczeniowo dziele Mozarta, rozszyfrowują symbolikę masonską, doszukują się politycznych aluzji w krainie Królowej Noc i

w krainie światła Sarastra. Objaśniają rytuały wtajemniczenia i inicjacji, natomiast Barrie Kosky proponuje szaloną zabawę.

Może nie jest to jednak deprecjacja arcydzieła Mozarta, typowa dla naszych czasów, w których tracą znaczenie dawne autorytety i wartości? Może Barrie Kosky przypomniał nam, czym w istocie jest „Czarodziejski flet”? Ta opera powstała dla Theater an der Wien, gdzie nie chadzały elity, ale zwykli mieszkańcy spragnieni bezpretensjonalnej rozrywki i efektownych teatralnych pomysłów. Warszawski spektakl to właśnie nam daje, a publiczność w 2016

roku bawi się tak dobrze jak ta 225 lat temu w Wiedniu.

A jednak Mozart w takim ujęciu stracił głębię. Nie intelektualną, ale przestrzenną, jaką zapewnia teatr, a nie kinowy ekran z jednowymiarowymi postaciami. Olśniewająca koncepcja Kosky’ego wymaga bowiem dowartościowania muzycznego, by całość nabrała życia, a bohaterowie przedstawienia zyskali prawdziwą, a nie dorysowaną energię.

Mozart w ujęciu dyrygenta Piotra Stanisławskiego, który kilka dni przed premierą przejął orkiestrę, jest natomiast starannie odtaktowany, ale bez finezji, wdzięku i temperamentu. Soliści prezentują różny poziom. Gdy Iwona Sobotka wydobyla szlachetność w nutach przypisaną Paminie, zdominowała spektakl.

Rafał Siwek dał przykład ładnego mozartowskiego śpiewania w roli Sarastra, ale Jole Prieto w roli Tamina był jedynie poprawny, a Papageno Bartłomieja Misiudy wokalnie wręcz bezbarwny. Aleksandra Olczyk bezbłędnie wyśpiewała wszystkie górne dźwięki Królowej Nocy, ale wspinanie się do nich nie było już równie efektowne.

Obawiam się jednak, że na różne wokalne niuanse widz nie będzie zwracał uwagi pochłonięty tym, co porusza się na ekranie. Żyjemy w cywilizacji obrazkowej, a Mozart staje się dostarczyicielem do nich muzycznego tła. Jak w niemym kinie. ©©



Więcej zdjęć
z „Czarodziejskiego fletu”

rp.pl/kultura